

# Wojciech Głowala

---

## Lęk i metoda

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (60), 105-121

---

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Wojciech Głowala

### Lęk i metoda

*Lecz to wszystko pominę. Nie zamierzam się wdawać w taksonomię Introdukcjonistyki ani nawet w elementarną klasyfikację tego postpionowanego dotąd, na kantarach trzymanego rodzaju. Cuganty czy chabety — jednak w nim zaprzęgiem chodzą. Niechże się Linneusze zajmą tą pociagową stroną rzeczy.*

Stanisław Lem: *Wstęp do Wielkości urojonej.*

#### 1

Zdumienie albo nawet zgorzelenie, które pojawiają się nagle, kiedy studentom zabierającym się do pisania prac magisterskich mówi się, że wstęp do nich pisze się na ostatku, po powstaniu „środka” i ewentualnie „końca” — są bardzo charakterystyczne i zastanawiające. Przyuczonemu już jako tako do podstawowych i oficjalnych rygorów pracy badawczej mówi się półszepsem, że w tym miejscu — bez sformalizowanych ostrzeżeń — obowiązują już nieco inne rygory, z tymi oficjalnymi na pierwszy rzut oka niewiele mające wspólnego. Inaczej mówiąc, okazuje się dość niespodzia-

Pierwsze  
wtajemniczenie

nie, że nie wszystko w pracy badawczej sprowadza się do wypełniania mniej lub bardziej ustabilizowanych reguł logiczno-metodologicznych.

Zjawisko to — i zdumienie, i niespodziana różność owych reguł — wprowadza nas w obszar oficjalnie rzadko opisywanego *zwyczaju* w nauce, który jest rygiorem istniejącym zupełnie inaczej, poza ową sferą logiczno-metodologiczną, gdzieś w dziedzinie luźnych — bo niesformalizowanych i stąd dość szybko przemiennych — umów społecznych, o dużej jednak sile nakłaniającej. (Niezbyt precyzyjnie odróżnia się „zwyczaj” od „obyczaju” — na ogół przez wskazanie mniejszych rozmiarów sankcji za przekroczenia wobec zwyczaju. Używamy tu terminu „zwyczaj” ze względu raczej na słabsze istnienie tych sankcji oraz możliwość nieumotywowania przejścia między rodzajami tych sankcji). To jest miejsce, w którym istnieje spora część „przepisów” składających się na czy okalających etos badacza, jest to także miejsce, w którym kształtuje się niezwykły folklor społeczności naukowej — w nich zaś specyficzne i specyficznie kontrolowane pionowo układy społeczne, o narastającej w górę porcji charyzmy przydzielanej obejmującym wyższe miejsca w tej strukturze. (W nawiasie przypomnijmy pochodzenie terminu „charyzma”: greckie *charisma* = „dar miłości, podarunek”).

Dlaczego ten obszar istnieje i tak właśnie wygląda — nad tym po części zastanowimy się potem, teraz przyglądnijmy się owym wstępom. Jeszcze przedtem zauważmy — określając tym samym zakres badanych tekstów — że spotykamy w ich poetyce zauważalne odrębności narodowe (czy — ostrożniej — odrębności wynikające z przynależności do kręgu kulturowego). Polskie wstępy różnią się dość zdecydowanie od wstępów anglosaskich np. w części — którą potem szczegółowiej opiszemy i wyróżnimy — „dziękczynnej”. Otóż bardzo często u Anglosasów owa część zupełnie się usamodzielnia two-

Wstępne  
zwyczaje

Odrębności  
kulturowe

rząc nowy, osobny tekst (np. *Podziękowania we Wzorach kultury* Ruth Benedict, podobnie w *Argonautach zachodniego Pacyfiku* Bronisława Malinowskiego). W dodatku ta część w swoim indeksie osób jest o wiele bardziej demokratyczna niż u nas: zauważmy, jakże często pojawia się w nim miss Smith, której śliczne rączki zechciały niesłychanie starannie sporządzić maszynopis. (Któż z nas odważyłby się wprowadzić tu panią Krysę z hali maszyn? Nawet zwykle wielce zasłużeni dla książki redaktorzy-adiustatorzy pojawiają się w tych indeksach niesłychanie rzadko). I jeszcze jedna przykładowa różnica: nieczęsto u nas pojawiają się wstępy cudzego autorstwa (idzie oczywiście o wstępy do prac autorów żyjących), jak np. ten Romana Ingardena do rozprawy Janiny Makoty o klasyfikacji sztuk. U Anglosasów jest to wypadek o wiele częstszy i to czasem pojawiający się z informacją — jak to jest z przedmową Jamesa Frazera do wspomnianych *Argonautów* — iż powstał taki tekst na prośbę badacza (nb. Malinowskiemu daje to okazję do skromnego wyznania: „Sir James Frazer swą przedmową podniósł wartość tej książki ponad faktyczne walory [...]”).

Wobec tego zaznaczmy, że niżej będzie mowa przede wszystkim o polskich wstępach i to przede wszystkim takich, które możliwie wyraźnie prezentują fenomeny, o które tu idzie.

Odmienność — odmienność od tekstu, z którym ma współistnieć — tego gatunku pisarstwa naukowego została zauważona już dość dawno (choć trudniej nam precyzyjnie tę dawność określić). Jakby poza podstawowymi nakazami procedury naukowej zastanawiano się, co powinien zawierać wstęp, jakie są jego zadania i jak je należy spełniać. Pisał o tym już Hegel, u nas ładnie i ironicznie zauważył antynomie wstępu Bronisław Baczek (zresztą też we wstępie, w książce o Rousseau), który cytuje także słowa Monteskiusza: każdy wstęp jest „z natury

Tradycja  
introdukcjo-  
logii

nudnym”, czemu postaramy się zaprzeczyć, pokazując, jakie dramatyczne historie rozgrywają się na początku każdej poprzedzonej „wprowadzeniem”, „uwagami wstępnymi” czy „zamiast wstępu” książki. Że coś ta odmienność wnosi zdecydowanie obcego do książki, świadczyć może także podatność tego gatunku na parodiowanie i pastiszowanie — i przykładem może tu być znakomita książka przywołana w motcie (a przywołana nie z grzesznej pokusy kreowania się na Linneusza Introdukcyjistyki, ale ze względu na wskazanie w niej „dotkliwej luki” i jednocześnie chęć przeciwstawienia się lekceważeniu „pociągowej strony rzeczy”).

Potrzeba  
perswazji

Da się z powyższego wywodu ułożyć domysł następujący: wstęp poprzedzający naukowy tekst z dziedziny humanistyki stanowi jakby nienaukową obudowę tekstu, prezentuje rygory obce klasycznemu postępowaniu i służące celom perswazyjnym, nie zaś bezpośrednio poznawczym. Byłoby to zatem jakby obce ciało, skrycie lub przynajmniej nielegalnie nieco wprowadzone do — w zamierzeniu — jednorodnej działalności badawczej. Tę hipotezę teraz rozwinie my, zaznaczając przedtem, że nie chodzi o szkalowanie czy chęć likwidacji celów tej perswazji, a tylko o opis środków, którymi się te cele osiąga. Zatem nie obrażamy się na tego typu działania — i zdanie to jest także dla tych, którzy losowo są cytowani w szkicu. Nie idzie tu także o problemy „szczerości — nieszczerości”, „naturalności — nienaturalności” itp., tylko po prostu o problem sposobów realizowania pewnego szczegółowego wzoru kulturowego.

## 2

W normalnej (czyli dla nas poznawczej) perspektywie wstępowa prezentacja przedmiotu badań służy jego prawidłowemu roz-

poznaniu przez odbiorcę i ustaleniu relacji między nim a zamiarami poznawczymi badacza. W perspektywie perswazyjnej — o którą nam idzie — sprawa odbywa się nieco inaczej. Mianowicie ten przedmiot jest waloryzowany tak, aby *zapowiadany* trud ukazywał się atrakcyjnie (w sensie poznawczym i społecznym) jako niezbędny dla instytucji (jej funkcji, a nawet w ogóle jej istnienia) i przede wszystkim ujawniony jako skutek zdecydowanego żądania tej instytucji do „załatwienia” go w pierwszej kolejności.

W tym właśnie miejscu pojawia się zwykle osławiona — a i chyba sędziwa — „dotkliwa luka”, ale też odnajdziemy i usiłowania bardziej pomysłowych jej wariantów (np. „szczególnie zaniedbany odcinek współczesnej nauki”). Jest to jakby pierwszy stopień takiej waloryzacji: uzupełnia go zaraz ponury na ogół obraz dotychczasowych — oczywiście, cudzych — działań na tym obszarze, które czasem są dodatkowo usprawiedliwiane „charakterem współczesnych nauk społecznych”. Heroizm czynu podjętego przez badacza jawi się w tym kontekście już niejako automatycznie, właśnie przez zorganizowane w ten sposób napięcie między konstатовanym stanem faktycznym a zamiarem badacza.

To jest jeden aspekt (pierwsza korzyść perswazyjna) tych działań. Mamy bowiem zaraz — i to jest drugi aspekt i druga korzyść, nieco sprzeczne z pierwszą — okazję stwierdzić, że te zabiegi heroizacyjne łączą się niezbyt jawnie z następnym zabiegiem, który polega na lęklwym odheroizowaniu obrazu przedmiotu i zamiaru, ale tylko w jednym miejscu: jakby tamta autoheroizacja ubezpieczała i usprawiedliwiała deheroizację, która wynika z wprowadzenia tonu ostrożności, skromności, umiaru — cnót, zdawałoby się, wcale nieheroicznych, ponieważ razem tworzą ton niejawną asekuracji. Najbardziej znanym w Polsce tekstem Arystotelesa jest następujący fragment *Etyki Nikomachejskiej* roz-

Heroizacja...

i asekuran-  
ctwo

włóczyony po wielkiej ilości wstępów: „Wystarczy może, jeśli opracowanie naszego przedmiotu osiągnie ten stopień jasności, na jaki przedmiot ten pozwala; nie we wszystkich bowiem wywodach trzeba szukać tego samego stopnia ścisłości”. Ten tekst — pojawiający się także w książkach uczonych, którzy mieli mało powodów do asekuracji, jak np. Władysław Tatarkiewicz czy Maria Ossowska — jest chwytem deheroizacyjnym chyba najbardziej subtelnym, tym bardziej że mieści w nim jeszcze jeden chwyt, mianowicie sądenie z aurytety. Subtelność ta polegałaby i na tym, że dość sprytnie „winę” spycha się całkowicie na przedmiot, podmiotowi zaś dodając jakby znowu porcję heroizacji: człowiek, z którym czytelnik wstępu ma do czynienia, okazuje się świadom ograniczeń poznawczych materii, jaką się zajmuje.

To, co mieści się poniżej tej subtelności, jest dość różnorodne. Bodaj najczęściej pojawia się żądanie, aby nie traktować tekstu poznawczego jako *monografii*. Jest to zwykle apel do dość potocznych mniemań o tej niejasnej genologicznie formie, która podobno powinna zawierać całościowy obraz badanej materii. Zapewne przede wszystkim owa niejasność jest powodem tych kategorycznych żądań, które czasem tylko przechodzą w „agresję ze strachu” (np. „odpowiemy im [krytykom] nie tylko *mea culpa*, lecz także — popróbuj sam!”): „Praca nie jest monografią [...] i wobec tego w niejednakowej mierze uwzględnia różne partie [...] systemu”. „Prawdziwa historia [...] pozostaje jeszcze do napisania [...]. [Książka ta] usiłuje zgromadzić przesłanki dla takiej historii [...]”. W jeszcze większej liczbie wstępów nie wymienia się wprost owej kategorii genologicznej, ale przedmiotem wyparcia jest jeszcze mniej jasna (tylko domniemana) kompletność problemowa (czy przedmiotowa); „obraz niektórych aspektów [...] może wykazywać luki, lecz wydało mi się bardziej właściwe pokusić się o na-

„Agresja  
ze strachu”

kreślenie w miarę możliwości wielostronnego obrazu [...]” czy wreszcie „Sprowadzenie zjawisk [...] niezwykle skomplikowanych i wieloznacznych do jednej, prostej, syntetycznej formuły jest zawsze w jakimś stopniu symplifikacją, zubożeniem i deformacją [...]” lub po prostu: „książka ta jest zaledwie nieśmiałą próbą”.

Następną bardzo rozpowszechnioną figurą w tym miejscu jest dość proste wykorzystanie opozycji: pytanie — odpowiedź. Ta figura nawiązuje do trochę wyższych niż potoczne mniemań, jakoby humanistyka była domeną przede wszystkim pytań — nie zaś odpowiedzi (za tym zaś dość mglście stoi może już wysokie domniemanie, iż proces historyczny w tej nauce polega na wymianie pytań, nie zaś na pozytywnym związku genetycznym między kolejnymi odpowiedziami). Wykorzystanie tej figury polega na tym, że jako na właściwy czyn tekstu poznawczego wskazuje się na pytanie („sformułowanie problemu”) i w pewien sposób lekceważy się lub jakby „odkłada” wagę odpowiedzi. Powiada się zwykle tak: „Książka moja jest zaledwie zaproszeniem do dyskusji na ten temat. Jeżeli po jej lekturze czytelnik uzna problem za skomplikowany, będą miał dostateczne powody do zadowolenia”, „Ale jest to tylko próba postawienia problemu, a nie jego rozwiązania; nie formułuję tam ocen, sugeruję natomiast kierunek dyskusji, której celem byłaby właściwa ocena”, „wypływa z niej [książki] również określony zamysł badawczy. On też jest tutaj, moim zdaniem, najważniejszy”, tezy te „nie tylko opracowują, ile raczej sugerują szereg sformułowań”.

Czasem — ale już rzadziej — to odciąganie uwagi od odpowiedzi przebiega z inną motywacją oficjalną, mianowicie odsyła się czytelnika w przyszłość, lepszą i ze spełnioną doskonale odpowiedzią: „odkładając tę kwestię do osobnej rozprawy” czy „będziemy mieli okazję poprawić terminologię i skorygować

Ciągłe  
pytania

Przyszłość  
będzie  
lepsza



Obiecanki  
cacanki

definicję [...] w serii przyszłych studiów”. Oczywiście, nie idzie tu o to, czy obietnica zostanie dotrzymana — tylko o doraźną, tu i teraz, korzyść z takiej obietnicy; a daje ona tyle, iż wskazuje, że pozostanie jakichś zauważalnych luk nie jest dziełem przypadku czy wręcz nieświadomości badacza.

Nikt nie jest  
bez grzechu...

Bodaj najrzadziej spotyka się wypadek, kiedy autor przyznaje się do ewentualnego błędu bez odsyłania w przeszłość, ale jest to wtedy błąd nieznanym, anonimowy, o niewiadomym położeniu w tekście poznawczym. Ten błąd musi być uznany jako anonimowy, ponieważ inaczej autor nie mógłby się do niego przyznać (gdyby go rozpoznawał, musiałby go uniknąć): czyli w takim razie owo ujawnienie ma określać raczej etos badacza, nie zaś nawet tylko domniemany stan faktyczny w działaniu poznawczym. Etos oczywiście budzący zaufanie: „Jestem przekonany, że próba dokonana przeze mnie obecnie zawiera sporo ułomności [...]”, „Być może, że nawet w granicach określonych metodycznym zamierzeniem mego szkicu nie zawsze umiałem być dość spostrzegawczy i krytyczny”, „niejedna zapewne z tych tez ulegnie w przyszłości znacznej modyfikacji lub całkowitemu odrzuceniu”. A zaufanie to najpewniej użytkowane jest tak, że liczy się na przedłużenie jego istnienia w tekst poznawczy, gdzie już absolutnie nie ma oficjalnych śladów atmosfery skromności czy niepewności — czy chociażby śladów naprowadzania na momenty mające związek z owym nieznanym błędem. Tym bardziej że logiczne skutki przyznania się do błędu domniemanego są dla tekstu poznawczego takie same, jak skutki ewentualnego wyparcia się go — czyli żadne.

Tak jest zresztą z całością zapowiedzi, które opisa-  
liśmy — ich aktywność ma się już po wstępie utrzymywać tylko w świadomości odbiorcy i współtworzyć recepcję tekstu poznawczego, który musi już unikać tak jawnej (zwerbalizowanej) perswazji. Bez konkretnych — pewnie „aparaturowo” bardzo skom-

plikowanych — badań empirycznych trudno jest wiedzieć, jak dalece jest ta aktywność skuteczna. Z tego, jak skwapliwie — subtelnie i grubo — tę potencję wywołuje się we wstępach, można tylko wnioskować, że na jej działanie bardzo się liczy.

## 3

Zatem odbiorca: dla niego i przed nim cała dramaturgia wstępu się organizuje. Zobaczmy więc najpierw, w jakich obrazach bezpośrednio (w opisywanych dotąd pojawiał się pośrednio) konstruowany jest odbiorca w tych wstępach.

Przed wszystkim bardzo rzadko jest to odbiorca „bezzprzymiotnikowy”. A więc: „*ważny* Czytelnik” (przymiotnik bodaj najczęstszy), „*kompetentny*”, „*współczesny*”. Wszystkie te przymiotniki określają zwykle wysokie możliwości i kwalifikacje intelektualne i moralne partnera wstępowej komunikacji. Okazuje się, że nie byle kogo oczekuje badacz jako czytelnika: okaże się to także, kiedy ujrzymy, że czytelnik uczestniczy i w genezie podjętych czynności, i dla niego przede wszystkim dokonuje się wiele w obrębie tych czynności.

To uczestnictwo w genezie może być sygnalizowane — choć nie jest to wypadek częsty — w sposób przypominający reklamę powtórek teatralnych („Napisałem tę książkę w odpowiedzi na liczne nalegania”). Kiedy indziej — i to jest wypadek częstszy — udział w genezie jest połączony z pewnymi aspektami działania poznawczego: mianowicie taki, a nie inny kształt tego działania uznaje się za efekt uwzględniania oczywistych interesów czytelnika nawet wtedy, kiedy to uwzględnienie jakoś degradowe badacza: „Jeśli z tego powodu praca zasługiwać będzie na ostrzejszą krytykę, to być może będzie mimo to bardziej użyteczna dla czytelników”. Ta perswazyjna pokora powoduje też przyznanie „ważne-

„Uważny  
Czytelnik”

Wszystko dla  
czytelnika

Hipertrofia  
skromności

mu odbiorcy” bardzo szerokich kompetencji w dwu dziedzinach: oceny całości postępowania poznawczego oraz ingerencji w samą materię tego postępowania. I nie jest to już wypadek, jak ten, który cytowaliśmy i w którym nakazywano: zrób to sobie sam, jeśli nasze ci się nie podoba. Kompetencje w kwestii oceny są wynoszone zawsze bardzo wysoko i z oczywistą nadzieją na ich zgodność z oczekiwaniami badacza; „O jej [książki] wartości niechaj rozstrzygnie czytelnik”, „Autorzy zdają sobie sprawę, jak wiele niedoskonałości obciąża ich dzieło, ale nie mając dystansu, nie potrafią ich dostrzec tak ostro i wyraźnie, jak kompetentni czytelnicy. Nie mają takiego rozeznania w różnorodnych potrzebach, jak sami odbiorcy”. W ostatnim cytacie omawiana figura realizuje się aż w takim natężeniu, że niechący redukuje do zera kompetencje badaczy: skutek tego może być i taki, że odbiorca pozostaje sam z jakąś „hiperpotencją kompetencyjną” — dość bezużyteczną, bo bez książki, która była powodem jego przywołania, i bez zbiegłych autorów.

Sytuacja robi się mniej interesowna — choć nie do końca — przy innym zabiegu: kiedy się proponuje czytelnikowi działanie konkurencyjne, ale spokojniej i z pewnymi już instrukcjami poznawczymi. Na przykład: „W aneksach publikuję dość obfity wybór zestawień statystycznych [...]. Z tych, o wiele pełniejszych niż dane cytowane w tekście, zestawień uważny czytelnik wyprowadzi być może wnioski, obserwacje i oceny inne aniżeli moje”. Ale i tu także perswazyjność nie maleje do zera, dłuższe zaś zatrzymanie uwagi (a przecież mechanizm działania perswazyjnego polega przede wszystkim na wyjątkowej momentalności) na tym fragmencie także zachęca do — oprócz zauważenia lojalności rodzącego się w tej momentalności — zdziwienia, że wiedząc o możliwościach istnienia drugiej prawdy autor proteguje z przyczyn oczywiście subiektywnych tylko tę pierwszą.

We wszystkich tych zabiegach zatem tak ustawia się postępowanie z czytelnikiem, żeby ten był przekonany, iż organizowany przez badacza świat istnieje z powodów tkwiących w odbiorcy i potrzebach instytucji, którą reprezentuje ów badacz.

## 4

Ten interes instytucji, mocna łączność badacza z jej strukturą i celami były już widoczne, kiedy omawialiśmy sprawę wstępowego prezentowania przedmiotu poznania. Jest jeszcze we wstępie miejsce, w którym owa łączność wygląda nieco inaczej, ta inność zaś wynika stąd, że zostaje tu ujawniony jakby prywatny stan stosunków badacza i reszty personelu instytucji. Jest to ta reszta, która zaludnia zdania dziękczynne tekstu wstępnego. Dostojewski definiuje gdzieś człowieka jako „istotę niewdzięczną” — to, co dzieje się w omawianych zdaniach, gruntownie tej definicji przeczy i badacza można by w tej perspektywie zdefiniować jako stworzenie istotowo wdzięczne. W polskiej tradycji wstęp opisarskiej zwroty dziękczynne są zwykle umieszczane w „mocnej” części tekstu, najczęściej w zakończeniu. Indeks osób, które pojawiają się w tym miejscu, dzieli się dość wyraźnie na dwie części — i jest zwykle tak, że wstępy pod tym względem są dość jednorodne, tj. na ogół wyraźniej realizują jedną część tego indeksu. Otóż w pierwszej części pojawiają się zazwyczaj konkretne (poprzez tytułaturę, imię, nazwisko) osoby, których perswazyjny powód pojawienia się tu tkwi najprawdopodobniej w posiadaniu przez nie maksymalnej porcji „charyzmy instytucyjowej”. Tym właśnie osobom autor zawdzięcza — jak się dowiadujemy — bardzo wiele przy właściwym rozpoznawaniu materii poznawczej. Odbiorca musi oczywiście wiedzieć o wielkości owej porcji charyzmy — i o tę wiedzę tu najpierw idzie i ona wnosi

Dziękczynienia

Kalkulacja...

i egzaltacja

do działania swoją energią nakłaniającą. Dlatego też stylistyka takich partii wstępu jest na ogół dość trzeźwa i oszczędna. Widać to szczególnie, kiedy ten typ przyrówna się do drugiego: w tym drugim dochodzi właśnie do bardzo szczególnego wybuchu liryzmu i intymnej prywatności. Zdziwiające, ale tu spotykamy się równocześnie z dýskretną anonimowością, jeśli idzie o tytułaturę i nazwiska. Ale za to mamy bardzo wyraźnie wskazane role, jakie owe anonimowe postaci pełnią w miejscu społecznej obecności badacza: są to zwykle „przyjaciele”, „uczniowie”, „koledzy”, „współpracownicy” (czasem zdarzy się wśród nich i małżonek), zatem osobnicy, z którymi wspólnota badacza jest generowana przez bardzo wysokie cechy etyczne (i sama je jednocześnie generuje).

Te dwa typy różnią się już nieco mniej, kiedy tej sprawie przyjrzymy się od strony przedmiotów dziękczynienia. Dość rzadkie — a i mało nośne perswazyjnie — są wypadki, kiedy te przedmioty są jasno jako przedmioty poznawcze określone i nazwane. Choćby tak: „do teorii informacji mogłem się odwoływać dzięki pomocy [...] profesora politechniki [...], który czuwał nad moimi posunięciami w tak specjalistycznej dziedzinie [...]” — perswazyjność może tu co najwyżej tkwić w użyciu figury powołania się na autorytet. Najczęściej bowiem — w pierwszym typie — te przedmioty istnieją znów w anonimowości: na ogół nie wymienia się aż tak konkretnych, jak w cytacie, rzeczy, jakie się zawdzięcza charyzmatycznym osobom. Mowa jest co najwyżej o pomocy w poprawieniu *jakichś* błędów, udzieleniu *jakichś* doskonalących poznanie wskazówek. Niejasna jest więc — żeby tak powiedzieć *wielkość merytoryczna* tych zawdzięczanych przedmiotów. I o to właśnie w tym zabiegu idzie: nie to coś darowanego jest istotne, istotny jest tylko oczywisty skutek w postaci udoskonalenia przez charyzmatyczne osoby.

Magiczne dary...

W stosunku do przyjaciół, kolegów i współpracowników dziękczynienie kieruje się już zupełnie w stronę pozapoznawczą, mianowicie w stronę przedmiotów — zaraz to wyjaśnimy — „intymnie terapeutycznych”. To, co się otrzymuje od przyjaciół, właśnie konstytuuje przyjaźń — i taką przyjaźń, która jest ratunkiem dla badacza w momentach kryzysu osobowości: „rada”, „otucha”, „dobre słowo”, „słowo zachęty”, „wyrozumiałość i życzliwość”. Waga tych przedmiotów jest podnoszona bardzo wysoko i one jakby wypełniają „przerwy” — można się domyślać, że bardzo dramatyczne — w procesach poznawczych poprzedzających napisanie książki.

i pocieszenie

Można chyba zupełnie sprawiedliwie z opisywanych faktów wyciągnąć wnioski dotyczące funkcji tych zjawisk. Da się je ująć w trzy grupy, trochę zachodzące na siebie. Po pierwsze: wprowadzenie sfery prywatności wprowadza z kolei coś jeszcze innego, mianowicie ta „liryka” w sposób nieledwie poetycki ma przekonać o wielkim stopniu uspołecznienia badacza, czyli o jego ścisłej i także intymnej przynależności do grupy, przez nią zaś do instytucji. Po drugie: ta aż tak głęboko do wewnątrz osoby schodząca przynależność ma najpewniej pomagać we wzmoczeniu wiary w kompetencję badacza. Ktoś bez kompetencji nie będzie przecież akceptowany w instytucji ani też nikomu takiemu nie przychodzi w sukurs kompetencja charyzmatyczna. Po trzecie wreszcie — i to jest pewnie funkcja najciekawsza, bo wprowadzająca problem mitotwórstwa w naszej instytucji — zjawiska te w oczywisty sposób mają ukazywać psychiczną i społeczną *dramatyczność* czynności poznawczych. Czyli do komplikacji przedmiotowych, które wcześniej badacz mniej lub bardziej opisywał, dochodzą tu równie wielkie komplikacje podmiotowe: okazuje się, że wysiłek badawczy porusza i bebechy, i to aż w takim stopniu. Można ujawnienie tego traktować jako ufne zwie-

Mitotwórstwo

rzenie się czytelnikowi — z liczeniem, jak to ze zwierzeniami bywa, na jego emocjonalne poruszenie. I najpewniej znów na włączenie tego poruszenia — bo przecież nie może być ono bezużyteczne — w przekonania odbiorcy dotyczące kompetencji badacza. Jeśli podejrzenie to wydaje się dość grube, to przecież zaraz trudno uwierzyć, aby na „liryce” to wydarzenie się kończyło: przed odbiorcą jest jeszcze cała książka, która wciąga w głąb siebie wszystkie przedmioty przemykające przez jego głowę za sprawą autora ze wstępu.

## 5

Z tego, cośmy powiedzieli, już nieledwie automatycznie poskładał się obraz następny: obraz autora. Wszystkie jego wymienione cnoty (wysoki stopień pozytywnego społecznienia, dobra wola moralna i poznawcza, wrażliwość i skromność, zdolność do prawdziwej wdzięczności itp.) każą się teraz zastanowić, do jakiego wzorca osobowego ten obraz nawiązuje. Możliwości są tu chyba co najmniej dwie: albo do obowiązującego w instytucji, której członkiem jest badacz — albo też do potocznego wzorca „człowieka poczciwego”. Zdumiewające, ale wydaje się, że idzie tu bardziej o owego człowieka poczciwego. Zestaw cnót, które wymieniliśmy, jest tożsamy z zestawem cnót, jakimi dekoruje się porządnego człowieka w świecie potoczności. Czyli inaczej mówiąc: w perswazyjnie budowanych wzorcach badacza poczciwego nie ma właściwie żadnych cech „wyspecjalizowanych”, tj. dających się realizować tylko w tej właśnie instytucji. W związku z tym skonstruować można jeszcze domysł dotyczący funkcji wspomnianej w poprzednim rozdziałku liryki. Otóż obraz autora, który odkryliśmy, nie tylko wyraźnie koresponduje z obrazem „człowieka poczciwego”, ale — tyle że negatyw-

Badacz, ale  
poczciwy

nie — z wyobrażeniami potocznymi o badaczach: osobnikach o dość wątplym pozytywnym uspołecznieniu, niskiej wrażliwości emocjonalnej, z trudem poruszających się w rzeczywistości potoczno-empirycznej. Wedle wstępów jest zupełnie inaczej: czuły nerwowiec i swój chłop! Ten domysł o tej negatywnej korespondencji jest w pełni prawdopodobny, ale tworzy jednocześnie dogodne warunki do powstania następnego paradoksu: otóż w kontrowersji między omawianymi obrazami wyłania się kolejny domysł, że w takim razie wirtualny odbiorca owych wstępów jest jednocześnie użytkownikiem owego potocznego obrazu badacza! A jeszcze inaczej w takim razie: tak zatem sądzi konstruujący swój wstęp badacz!

Piramida  
domysłów

## 6

Wróćmy na koniec znów do problemu zwyczaju. Powiedzieliśmy, że zwyczaj można definiować jako społecznie utrwalony sposób postępowania, którego przekroczenie grozi sankcjami i który jednocześnie istnieje w sposób jakby mniej „zdecydowany”, niż to dzieje się np. z prawem (*ius*) czy „przepisem metodologicznym”. Z powodu tego niższego stopnia „zdecydowania” także inne są i owe sankcje: i mniej skodyfikowane, i dzięki temu mniej przewidywalne (czyli tym niebezpieczniejsze!). Ta elastyczność ma i takie skutki, że można bardzo szybko zmieniać wielkość sankcji: w tym właśnie upatrywalibyśmy i łatwość, i swoją konieczność sycenia perswazją działań związanych z realizacją kulturowych wzorów zwyczajowych.

Zwyczaj pełni zapewne przede wszystkim funkcje integracyjne i identyfikacyjne i to zwykle na takim poziomie interakcji, który z różnych przyczyn musi być pozbawiony wyraźniejszego społecznie

Funkcje  
zwyczaju  
w nauce



stopnia kodyfikacji. Poza tym można podejrzewać, że na terenie naszej nauki zwyczaj, którego niewielką i „specjalistyczną” część tu opisujemy, ma jednocześnie jakieś podziemne połączenia jeszcze z jednym — w równie złożony sposób się ujawniającym — zjawiskiem. Mianowicie: z pełnieniem przez dzisiejszą humanistykę funkcji światopoglądowej (bo przyjmujemy tezę Jerzego Kmity o dwójstej naturze humanistyki sprzed przełomu teoretycznego: poznawczej i światopoglądowej). I z całą pewnością jest to połączenie także przez wymienioną integrację i identyfikację.

To, co wymaga wyjaśnienia na teraz z problematyki tego szkicu, to właśnie ów zastanawiająco wysoki stopień nasycenia perswazją wstępowych zwyczajów. Perswazja pojawia się na ogół wtedy, kiedy: 1) chcemy wymóc jakieś działanie jednocześnie ukrywając prawdziwe motywy naszych chęci; 2) chcemy pojawienia się tych działań, nie potrafiąc samemu wyjaśnić motywacji lub nie mogąc jej zwerbalizować *dla* działającego (wypadek częsty w procesach wychowawczych); 3) nie mamy zaufania do istniejącej motywacji i dlatego usiłujemy potajemnie nakłonić do jej zmiany. Można chyba sądzić, że to, co dzieje się w opisywanych wstępach, dotyczy wszystkich tych trzech wypadków. A dlatego, że głównej motywacji nasycenia perswazją można się domyślać w głębokiej nieufności wobec *kompetencji i etyki* odbiorcy (stąd się pewnie brała owa kontrowersja między obrazami autora) oraz rygorów weryfikacyjnych, jakimi dysponuje rodzima instytucja. Bowiem w owych rygorach weryfikacyjnych da się znów odnaleźć przewagę rygoru zwyczajowego nad sformalizowanym. Różność poziomów działań recenzenckich (weźmy choćby „odległość” między recenzjami wewnętrznymi a publikowanymi), istnienie „układów”, działanie mechanizmu mody i błyskawicznej wymiany autorytetów, manipulowanie instytucją przez inne instytucje,

Motywacje  
perswazyj-  
ności

przede wszystkim zaś często wykorzystywana możliwość rozciągnięcia ewentualnej weryfikacji światopoglądowej na sferę poznawczą, czyli w ogóle możliwość pojawienia się nowej perswazji — wszystko to stwarza środowisko wysoce niebezpieczne dla samopoczucia badacza. Tym bardziej że bardzo często pod wspomnianą nieufnością drga jeszcze jedna, najmocniej może dramatyczna: nieufność wobec własnych kompetencji.

Zatem funkcje tej perswazyjności zdają się teraz jasne: jest ona jakby specjalnym dodatkiem do prezentowanego we wstępie — jawnie lub podtekstowo — dowodu o kompetencji autora, takiego dowodu, który ma przewidzieć wszystkie domniemane ułomności odbiorcy, w tym także oddalić możliwość jego agresji na odkrytą nagle niekompetencję autora. Źródła tego dodatku — oba rodzaje nieufności — oraz sposoby jego realizacji powodują jednocześnie wydarzenie nie przewidywane i oczywiście nie chciane: oto bardzo wyczuwalną dla odbiorcy tonacją wstępów jest po prostu *lęk*. Opisywane działania autokreacyjne, które badacz we wstępie przeprowadza, by ukazać się jako postać w pełni ludzka, usiłują więc rugować cechę bardzo ludzką, tyle że nie dopuszczaną do udziału w obu przywoływanych wzorach osobowych. A ona — okazuje się — i tak w owej tonacji przekornie się ujawnia. I ona to mogłaby przecież stać się nagle źródłem autentycznej integracji i identyfikacji, kiedy ów lęk potrafilibyśmy potraktować pozytywnie, rozumiejąco, tak jak przy nerwicach robi to terapeuta. Tak może nawet bywa — jeśli tylko oddalimy koszmarny już podejrzenie, że ujawnienie się lęku to znów kolejna sztuczka nakłaniająca. A więc przynajmniej pochylmy się uważniej nad wstępami...

Nie wstydzić  
się lęku